





Henryk Rzewuski „Pamiętki Soplicy” – Tadeusz Rejten

TADEUSZ REJTEN

Śmieją się z nas, starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ale kiedy bo i czasy, i ludzie byli lepsi niż teraz! Wielkie sądy Boże... Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie było, aby ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę. Widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagładzenie, omdlenie, a nie śmierć; po czym życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako ziarno w ziemię rzucone przegniwa i zamiera, aby ożywić potem dziesięć razy na sób obfitszy plon. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dlatego ludzie mądrzy w naukach boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, w wielkiej są obawie, kiedy wszystko im się wiedzie; jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością i radzi, kiedy jaki frasunek niespodziany cokolwiek przerwie im pasmo snute przeznaczeniem ciągle przyjaznym. Takim był JW. Rejten, podkomorzy nowogródzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychowywał w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim litewskim. JW. podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej nawet mało było mu podobnych; bo i rozum nadzwyczajny, i sprawiedliwość ledwo nie wyrównywająca tej, jakiej wzór nam zostawili święci sędziowie ludu Bożego. A pobożność i wiara, że gdyby nie jego pokora, umarłych by wskrzeszał! On to był szczególnym dobrodziejem ojców jezuitów w Nowogródku, a tameczny ubogi klasztor dominikański jego szczodrocią został jednym z bogatych na Litwie. Bywało, co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszówki, by z nimi rekolekcje odprawiać, i wtedy dyscypliną się chłoscze jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale i cała czeladź. "Mój chleb jecie -prawi -pokutujcie więc ze mną." Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikanin lub jezuita pokaże! A żaden sługa go nie opuścił: starzeli się i umierali u niego, a byli przywiązani, że w ogień za niego by wskoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko oni, ale i dzieci, i żona nawet czuj duch byli przed nim. Nadzwyczajne było jego szczęście. Z rodziców już bogaty; majątek ciągle wzrastał, a zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na jego poletkach dzieje, dyspozytory, jak chcą, rządzą, a on mawiał: "U mnie Pan Jezus gospodarz, a Najświętsza Panna gospodyni" - i na nich się zdawał tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie połockim, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko zawitał i parę tygodni przesiedział; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, a tyle ich przykupił, że zostawił dzieciom piętnaście. Miał on po nim jeszcze Gruszówkę, w której mieszkał, i trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia, i Rubieżewicze miał w dożywociu od księżnej kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego dobrymi radami miliony ocaliła, a nie znał zabiegów, o nic nie prosił i nad własnymi interesami się nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny. Dwa razy był deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, na koniec na najpierwszy urząd województwa wyniesiony, a na żadnym

z tych sejmików się nie znajdował. Każdy laudum i przywilej szukały go w Gruszówce, a nie on ich w Nowogródku ani w Warszawie. Frasował się nieraz, że mu tak ciągła pomyślność się nie przerywa. Razu jednego zgorzał nm magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony. Nic z niego nie wyratowano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku, on jeden wesół. "Przecie aby raz się nie powiodło - wyrzekł - sobiem rad, bo Pan Bóg pamięta o mnie." A to był jakby żarcik Opatrzności, bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo krzyczowskie w Mścislawskim, co na rok więcej przynosiło niż to, co dopiero utracił, z czego prócz niego wszyscy się w domu weselili. To mu upadło jak kamień z nieba, bo ani się starał o to, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowym jaki szczęśliwy. Żona to był anioł w ludzkim ciele: tak cnotliwa i piękna; syny kawalerowie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córek było trzy: piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry matki. Za życia powydawał ich za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jedne wziął pan Paweł Jeśman, chorąży słonimski, którego przodek był wojewodą smoleńskim; drugą wydał za pana Kazimierza Haraburdy, starosty wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nad sobą nie ma starożytniejszego; a trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelanica nowogródzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. - A do tego taki był zdrów, że już mu było niedaleko ośmiudziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata do łóżka przykuła, a na koniec życia pozbawiła, był okryty ranami i wielkie boleści cierpiał (jako lekarze mówili, bo po nim tego domyśleć się nie można było, tak mężnie wszystko znosił), wszyscy płakali, a on był weselszy niż kiedykolwiek i powtarzał: "Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mnie dotknął. Dopiero zaczynam dobrze tuszyć o przyszłym moim losie, kiedy mnie tu boli; dawniej sam siebie, teraz mój Pan łaskaw mnie chłoszcze." Toteż Pan Bóg, jako zapewnię duszę jego zabrał do chwały swojej i na ziemi pamięć jego pobłogosławił, między tylu godnymi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważać wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jeden ojczyznę by ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, jemu się nie powiodło, co jest niezawodnym, to, [że] pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zaginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie, Nowogródzanie, cieszymy się naszym ziemianinem, którego imię naród konający kazał złotymi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Starzec, puszczyć wodze nadziei, wszak mówią, że przed śmiercią czasem duch wieszczy ogarnia: nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogródku Rejten ze spiżu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu urząd miejscowy, rycerstwo i naród święcić będą. Co wiara ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego w wyświadczeniu ogólnych uczuć, złączą się, by uwiecznić pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien, wyposażonych szczodrotą publiczną, corocznie u nóg tego posągu zawierać będą szluby z

żołnierzami, co już swe lata odbywszy, na wysłużonym kawałku ziemi osiedą. Matki, synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłumaczyć, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza piersi moje, że pierwiastki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławach szkolnych siadywałem, że podzielałem jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach panu Tadeuszowi wszyscyśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony, a nawet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędnej dla otrzymania popularności. Jeżeli jaki obywatel nawiedzający ojców jezuitów o dawnych rzeczach polskich mówił, pan Tadeusz wszelkie zabawy nasze opuszczał i w głębokim milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom, i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Że klasztor był fundacji Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał, to on, bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor musi go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarz, a nie na co innego patrząc trzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienia dawał? Na korytarzu klasztornym wisiała mapa Polskiej, to idąc na zabawę jak na nią okiem rzuci, stanie przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic koło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwo umarłego by nie zbudzili; i nieraz rekreacja się skończy, a jego przy mapie zastają, jak go zostawili. Ojcowie jezuitów długo usiłowali, by jego oduczyć od tego ustawicznego zamyślania się, ale przekonawszy się, że to było na próżno, zostawili go, ile że w postępach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż jezuitów dość surowymi byli w prowadzeniu młodzieży, kilka lat minęło, a pan Tadeusz ani razu nie był sztrofowany. Raz tylko był karany, i silnie, z następnego powodu: między konwiktorami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelan nowogródzki, którego ojca gdy rodzila ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoją ojcowizną Oskierkom wniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnych postępów w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanię Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do konfederacji tyszowieckiej od tej pory zmaszał płamę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanie i w tym względzie bronił swojego przodka, a pan Tadeusz, co temu dyskursowi się przysłuchiwał, przerwał swoje milczenie mówiąc: "Panie Władysławie, wstydź się bronić złej sprawy, chociaż swego nadziada. Hetman późniejszymi zasługami zmaszał swoją zdradę, to mu przyznaję; ale pokąd trzymał z najeźdźnikami, któż śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?" Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą i że człowiek widząc, że siebie zgubi, a ojczyzny nie zbawi - sama roztropność każe w układy wchodzić z nieprzyjacielem, aby się zachować ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył, że porwawszy kamień, cisnął nim na kasztelanica głowę, że aż krwią się oblał. Wielki się z tego zrobił rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tym gwałtowniejszym widzieli, że kasztelanie z łagodnością się tłumaczył. Sam rektor oćwiczył pana Tadeusza - który ani jednej

łzy nie puścił - a potem kazał mu klęcząc przeproszać skrzywdzonego kolegi. Ale pan Tadeusz powiedział: "Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mnie zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się w znowy wchodzić z najezdnikami ojczyzny." Kilkakrotnie był bity, a nic go przemóc nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszony. Przestał go bić ksiądz rektor, by mu zdrowia nie nadwątlił, ale go do kozy zaparł, skąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem zmusić do upokorzenia siebie. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko w statecznym wytrwaniu, aż JW. Oskierko, kasztelan nowogródzki, przyjechawszy do szkoły a o wszystkim dowiedziawszy się, sam go wyprosił. - A gdy mu go przedstawili, zaczął go całować mówiąc: "Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obznaczył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przeproszać mojego syna, ale proszę ciebie, bądź mu odtąd przyjacielem, jako nim jestem twojego ojca." Dopiero się zmiękczył pan Tadeusz i rzucił się w objęcia kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, którą mu odtąd dochował.

W szkołach księży jezuitów byli zaprowadzili różne zabawy, stosowne do obyczajów polskich, i one nam wielce smakowały - między innymi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzeni była mogiłka usypana, którą nazywano taborem. Szkoła na dwie części się dzieliła, jako dwa wojska z sobą potykające się. Cała wygrana była, aby opanować tabor, przeciwny; i zażarcie biliśmy się, aby swojego obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskalów, a losy ciągnięte stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To pan Tadeusz, co był jeden z najtęższych w palcaty i niemiłosiernie w tych niby bojach częstował na niego nacierających, ile razy mu wypadało być Moskalem, choć od najsłabszych bić się dawał, że aż mu guze występowały. Kiedyśmy podziwiali, że guzy, bywało, nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umieją, on, co słynie z siły i wprawy: "Cóż chcecie - odpowiadał - kiedy ja i żartem znieść nie mogę, aby Polaków Moskale bili. Ile razy ja, niby Moskał, a buchańca oberwę, zdaje mi się, że ojczyzna coś wskórała, a ta myśl tak mnie jakoś opanuje, że bronić się nie umiem." Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuitów wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, wojewody wówczas nowogródzkiego, o to, aby był sąd szkolny przez studentów spomiędzy siebie wybranych, co by wszelkie ich sprawy z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrekcji studentów, ale wkrótce błogosławiły tej ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźć by nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żalącej się strone sąd dodawał obrońcę, studenta. Wszystko tak szło porządnie jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia w publiczności. Co roku sejmikowaliśmy

dla wyboru urzędników, ale jakeśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swojego ze szkół. Raz nawet przekryskował księcia Radziwiłła, marszałkowicza nadwornego, co potem był koniuszym litewskim, lubo za nim sami księża jezuiti forsowali. To pan Tadeusz, bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa, wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził, ale on tego nie przyjął mówiąc: "To nie idzie o ufność, ale żeby robić, jak prawo każe, a prawo nie pozwala, aby powinny powinnego sądził. Wolę prawa pilnować niż się cieszyć chlubą, że w sądzeniu na rodzzonego brata nie oglądałem się." A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc taki się usunął.

Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde tchnienie było dla ojczyzny. On to będąc jeszcze towarzyszem w chorągwi księcia Karola Radziwiłła, mając ledwo lat dwadzieścia, miał chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zaniechał. Była mu wpadła w oko panna Jewłaszewska, wojszczanka wołkowyska, co potem wyszła za pana Prota Chmary, marszałka oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stoma laty jej przodek był wojewodą brzeskim, a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż poznawszy ją w domu jej ciotki, W. cześnikowej Bemowiczowej, z którą i dom Rejtenów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył) i ze szwagrem swoim, panem chorążycem Jeśmanem, pojechał do domu W. Wojskiego, niby dla oddania mu uwagi, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę, nim Pan Bóg i ściślejsze związki przeznaczy. Ale tam przyjechawszy obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego: to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem pan chorążyc nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedsięwzięcia. Wszystko było na próżno.

- Piotr - mówił - to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, przyrzekł mu Inflanty, które są nasze wedle praw boskich i ludzkich, a potem, jak wylazł z kłopotu, nie tylko że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinięto nasze wojsko, to wojsko, postrach bisurmanów, a które pod Wiedniem całe chrześcijaństwo z ostatniej wydzwignęło toni. Wolę całe życie być kawalerem niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polskiej jest w poważaniu, że aż obraz jego zdobi pokój, w którym rodaków przyjmują.

Są rozmaite losy, których Opatrzność szafuje: jego było męczeństwo za ojczyznę; jakoż w istocie on tylko wtedy się cieszył, kiedy za nią cierpiał, i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Kiedy po śmierci Augusta III Moskwa bez żadnego hamulca rozprzestrzeniła gwałty po Polsce, upoważniona poniekąd ku temu przez kilku obywatelów zwiedzionych,

którym się zdało, że bezprawiem można ojczyznę pokrzepić i że najezdnik, przez nich sprowadzony, będzie w ich ręku ślepy narzędnikiem ich może zamiarów zbawiennych - książę Karol Radziwiłł, nie zapuszczając tak daleko swojej wyobraźności, ale pamiętny senatorskiej przysięgi, jako wojewoda wileński, porozsyłał wici powołujące do pospolitego ruszenia obywatelów, by się z nim łączyli w obronie praw zdeptanych, aby oswobodzić grunt ojczysty, skalany najezdniczym przechodem. Pan Tadeusz, wówczas towarzysz, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódca chorągwi, człowiek poczciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwsi, co zaczynają, na siebie odpowiedzialność ściągają, że bezpieczniej doczekać się jakiejś siły, do której by się przyłączyć można, niż się na oślepy wyrwać, że jakkolwiek zapał jest szlachetny, roztropność ma swoje prawidła, którymi gardzić się nie godzi. Ta przekłeta roztropność jeszcze wtenczas odurzała flakowate umysły. Ale pan Tadeusz odpowiedział mu: "Co mnie waćpan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuśćmy się na Tego, co nas nie będzie pytać, czy my majątki lub zdrowie ocalili, ale czy my naszej powinności dopełnili. Silni, zwycięstwem zbawim ojczyznę; stali, cierpieniem za nią wysłużym ją u Boga." I pomimo oporu porucznika chorągiew całą przekonał i ze Słucka przyprowadził ją do Nieświeża.

Zostawszy regimentarzem nowogródzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wytrwałość, i nieustraszone męstwo okazał. Pod Klockiem, widząc leżącego pod koniem pana Aleksandra Odyńca, rannego, który pod nim służył, a poznawszy jego nadzwyczajną zdadność, wiemy swojemu powołaniu, z siebie za niego zrobił ofiarę: swojego konia mu podał i tym go ocalił, a sam siebie oddał w niewolę, w której dwa lata przebył, istny męczennik, i z niej nie wyszedł, aż kiedy Moskwa, wszelki opór przygniótłszy, utwierdziła na tronie Stanisława. Po rozwiązaniu się konfederacji nieświeskiej wszystkim do czasu dano pokój, przywdziane barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na księciu Karolu Radziwille, którego odsadzono od urzędów i majątku i który jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów, tylko sumy, które z krwawej pracy przyjaciele z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapału następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobożną maksymą, że trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga, a więc czuć przestać - zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą tylko się zajmować. Ale pan Tadeusz był z małej liczby tych, co ani chwili nie stracili pamięci obelg Rzeczypospolitej. Od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem króla stołka w Radzie Nieustającej ani się nawet na sejmikach nie chciał znajdować. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z nawiedzającymi, ale ta wesołość, którą oni chcieli rozerwać jego ponurość, zniechęciła go, iż potem rzadko kiedy samotność swoją przerywał, i to chyba, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał tylko braciom: "Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?" I to wyrzekłszy, od nichże samych stronił. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. Moskwa, co więcej jeszcze pragnęła

naszej czci niż naszych dzierżaw, niedługo zasypiała. Już była zhańbiła część narodu, trzeba jej było jeszcze ohydzić to, co u nas było najślachetniejsze, trzeba było pasmem nieprawości uwikłać najcnotliwszych mężów. Ułudziwszy ich obietnicami zwodniczymi, przywabiła ich, aby podnieśli konfederacją dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, którego z wzdumą całego narodu przemocnie była usadowiła. Tak się podniosła konfederacja radomska, której marszałkiem chciała mieć nawet tegoż tułającego się księcia Radziwiłła, ciągle przez nią dotąd prześladowanego za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych i nieubłaganą ku niej nienawiść. Zdjęto z niego banicją, wrócono mu nieprawnie odjęte urzęda, zrobiono go naczelnikiem, że tak powiem, narodu. Nawet nad wojskiem moskiewskim poruczono mu dowództwo. Konfederacja zamieniła się w sejm, wszystko na siebie brało postać, jakoby głos sumienia dał się słyszeć zastarzałym naszym wrogom, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czym się skończyły te nadzieje? Trzech senatorów i poseł na Sybir porwani oświecili świat, jakie są zasady rządu moskiewskiego, jak tam rozumieją prawa narodów i czym jest w istocie pozorne ukształcenie tego państwa. Ale ta obelga obudziła otrętwiały naród, jakby z jakiego letargu. W wielu województwach chwycono się oręża; konfederacja barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezdowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej niż w Gruszówce. Tam jedyna jego rozrywka było polowanie w niebotycznych puszczech. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, ożywiwszy w nich tlejącą miłość ojczyzny, usiłował w lasach białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą. Ale nie mógł przelać siły swojego ducha między tamecznymi mieszkańcami. Większa ich część sprzyjała wprawdzie sprawie publicznej, aleby rada widziała rzeczy pewniejsze, a byli i tacy, co taki Moskwie sprzyjali. Dość że na siłę kilkaset ludzi uzbroił, i to po wielkiej części z jego dóbr. A co się tyczy obywatelów, choć było tego cokolwiek, co dało mu słowo, a nawet przyłączyło się do niego - na wstępie jak jednemu z nich Moskale wieść z dworem zapalili, wnet ostygła miłość ojczyzny, że ledwo kilkudziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się on jednak w puszczy, ale jak Moskale puścili na niego obławę swoich jęgrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, aby tą usługą dobrze się wystawić przed carową i tym zatrzeć pamięć pierwszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla pana Tadeusza. A jednak robił, co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do upadłego, a nie hańbili imienia polskiego. Mówił im:

- W lesie jeden za dziesięciu stanie; abo oni wiedzą ilość naszych?

- Ale, nie wiedzą? - odpowiadali mu obywatele z nim będący. - My, to prawda, że nie wiemy, wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą; abo ten i ten ich już nie nauczyli na pamięć?

A pan Tadeusz, zmęczony, jakby się żywymi gadzinami nakarmił:

- Pozwólcie, niech ja ich policzę; może ich tylko garść, dla postrachu, a wy na oślepię się trwożycie. Nie rozpierzchajcie się tylko, pokąd się nie dowiem.

I na nikogo nie spuszczać się, że był zręczny, liziwem na ogromną sosnę wlaź, jakby siabr jaki, i jak potem nam nieraz powtarzał, w samej rzeczy nie było tego tyle, aby im się nie oprzeć; ale tameczna plugawa szlachta, jak on przestał im bechtać nad uszami o powinności, rozpierzchła się, że tylko gajowi doczekali się, że przynajmniej widzieli Moskalów, ale i ci przed nimi w nogi, widząc siebie opuszczonych. Tak Moskale w lesie, a pan Tadeusz na sośnie. Szczęście, że jego nie spostrzegli, boby go jak głuszca byli położyli. To on dopiero późną nocą z sosny zlazł, a do Berezdowa nie było mu czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczętu, a potem zapalili: magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania, co jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może się stawały, w jednej godzinie w popiół się zamieniły. Pan Tadeusz, jak mógł, do Gruszówki się przedarł, jak zwierz błądząc po lasach, i Pan Bóg, co go do większych rzeczy gotował, nie dopuścił mu wpaść w ręce Moskalów, bo oni niezawodnie byliby go zamęczyli. - To w Gruszówce dokazał, że kilkuset Kozaków swoim kosztem uzbroił, a najwięcej z dworskich, bo każdy nowogródzki szlachcic, co mógł, mu swoich ludzi oddawał, i z swoim dawnym [towarzyszem] Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdywał się on w nieszczęśliwej stołowieckiej potyczce, gdzie hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę pana Giełguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, że pan Tadeusz jego mózgiem obryzgany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dźwigania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju - i nie bez słuszności. I czy to w jednej bitwie walczył aż do końca! Nareszcie rozwiązała się konfederacja barska: zbrodnia i przemoc jeszcze raz zgmiotły niewinność i prawość.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przez niego okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i unikał nawet dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szanću prawa bronić sławy narodu. Polski Fawoniusz, Michał Korsak, został kolegą tego polskiego Katona. Zbierają się zatwardziałe lub przelękłe prawodawcę w Warszawie. O dniu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogródzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zalegli uzbrojeni Moskale: harmaty wystawiono naprzeciw izby poselskiej, lonty zapalone grożą śmiercią każdemu, co jeszcze ostatki sumienia nie przydusił; zniewieściały monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zbierają się posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy, zalani łzami, zdradzają i pocziwe uczucia, i słabość duszy; kilku tylko, z obliczem wypogodzonym, okazują, że wszystko oprócz Boga poświęcą, że za progami izby zostawili, co tylko do żywota przywiązać ich mogło, i że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Haniebnej pamięci kanclerz ogłasza propozycją królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka.

- Zgoda! - odpowiedzieli (jednak głosem drżącym) zaprzędani posłowie.

- Zgoda! - jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przelękli.

- Nie ma zgody! - odezwał się Rejten. - Na sejm walny jesteście zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmku.

- Tadeusza Rejtena obieramy marszałkiem! - odezwał się Korsak, Bohuszewicz i trzech innych posłów, kupujących się przy Rejtenie. Zdumieli się wszyscy. Rejten porzywa łaskę i sesję zagaja. Przez chwilę kilka kanclerzy, Poniński i inni jurgielnicy moskiewscy zamilkli; już większa część izby poczuła chęć do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziały zdrajcę, z drugiej - przybliżające się lony do panewek, przydusiły ten słaby płomyk. Okropny . szmer powstaje, jakby na zborzyszczu piekielnych duchów.

- Nie damy się owładać przez pięciu posłów, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!

Wyrodkowie wydzierają łaskę Rejtenowi; pięciu wszystkim się opierają.

- Nie ma zgody na konfederację! - krzyczy Rejten. - Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie płamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! Pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacji nastąpi! Świętokradzkie ręce biją Rejtena i jego kolegów, a Poniński, ośmielony, już z łaską w rękę, śmie sejm zagajać. Korsak i Bohuszewicz, szamocąc się między oprawcami, krzyczą:

- Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie pozwolimy! Ostatniego środka legalnego chwytamy się Rejten:

- *Sisto activitatem!* - mówi. - Sejm zerwany, nie ma sejmku!

- Nie ma sejmku! - powtarzają wierne męczennicy!

- Panowie bracia - odzywa się Poniński - widać, że ci panowie zmysły mają pomieszane. Nie oglądajmy się na nich, a postępujemy w obradach naszych. Zapraszam panów do zapisania aktu konfederacji.

- Zdrajco! - krzyknął Rejten - jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy nie ma sejmku!

Poniński, zapisawszy akt, solwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy się zostali dla zanieśienia manifestu. Tam trzy doby siedzieli zamknięci o głódzie, a potem nareszcie osłabionych wypuszczono. Nie było ofiar, którymi by ich nie kusowano, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtenowi łaskę mniejszą litewską i starostwo borysowskie, Korsakowi i Bohuszewiczowi kasztelanie i intratne królewskiej ofiarowano; toż innych trzech wiernych posłów kusowano. Niecnota Poniński śmiał z nim o tym mówić i mógł znieść jego oblicze.

- Podły człowieku - odpowiedział Rejten - mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się.

Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnym pogardy odpowiedzieli. Wywieziono ich na koniec za miasto, a

pan Gurowski, któremu zlecono było ich wywieźć do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, tam im powiedział:

- Bywajcie, waćpanowie, zdrowi i próbujcie nową konfederacją przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmasać nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała.

Pan Tadeusz osiadł w Gruszówce, ale to pasowanie się ciągle a świeżo odbyte, to zranienie na j drażliwszych uczuciów znacznie mu zdrowie osłabiło; tym więcej że w czasie tej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów, wydzierając mu laskę, silnie pięścią w ciemność go ugodził. Zawrót głowy częsty przy innych boleściach cierpiał, a w ciągłych zadumaniach nocy bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnym skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł - i rozum jego rozbił się. przywalony sromotą publiczną. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyzny ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogródzkie biegło do Gruszówki oglądać swojego nieśmiertelnego posła na łożu boleści, z umysłem nadwerężonym w usługach ojczyzny, a pogrążonego w ostatniej rozpacz. Ale nie dał się widzieć, mówiąc:

- Ja ich nie znam. Obywatele nowogródzcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić.

Kiedy ośmieliłem się go nawiedzić, gdy mnie jemu oznajmiono, przypomniał mnie sobie:

- Seweryn Soplica to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie.

Uprzejmie mnie powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przebąkiwać:

- A co, panie Sewerynie, nie wiesz mi szczęścia, że postąpił na Moskala? Tak, Berezdów w guberni białoruskiej, ja już carowej poddany. Proszę mnie mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Ponińskich nie ma.

I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby słudzy nie przytrzymali, na mnie by się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszówkę i aż w Mozyrskie się przeniosła nie mogąc znieść cierpień syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu generała moskiewskiego, który stał w Nowogródku, a przyjechał rewizytę oddać panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrażał się na generała, ale ludzie go nie puścili i jego zamknęli. Wtenczas wpadł w jakieś zapamiętanie i szybę u okna rozbiwszy, szkłem uraził sobie jelita. Dwa dni po tym przypadku życie Panu Bogu oddał. Mówię: Panu Bogu, bo w kilka godzin przed skonanem zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na

śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których nie chciał ten szanowny jego brat przed ludźmi odkrywać, mówiąc:

- Nie chcę was zasmucać, bo co ma być dobrego, tak dalekie, że żaden z nas się [nie] doczeka, a bieda na karku siedzi.

Potem tylko Zbawicielem naszym i Jego Najświętszą Matką był zajęty, ofiarując im i te nowe cierpienia, których w nieprzytomności sobie zadał.

- Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Tuszę, że mnie miłosierdzie i zasługi Jego najdroższego Syna nie ominą; a cierpienia mnie, nędznego, ofiaruję Tobie. o Panie, za moją nieszczęśliwą ojczyznę.

To były jego ostatnie słowa.